

Lago Atitlan

27.05.2007.

Zmieniony 10.06.2007.

Wyjeżdżamy z Xeli. Jedziemy nad jezioro Atitlan, opisywane przez niektórych jako najpiękniejsze jezioro na świecie. Otoczone przez góry i wulkany, z ciekawymi miasteczkami i wulkanami na wybrzeżu.

Najpierw jednak pewna trudność sprawił nam wyjazd z Xeli. Otoż właśnie dziś definitywnie i nieodwołalnie zaczęła się tu dla nas pora deszczowa. Siedzieliśmy w Xeli do wczesnego popołudnia, robiąc wreszcie porządki w zdjęciach z USA w kafejce internetowej. Kiedy udało nam się z nimi uporować, dziarsko ruszyliśmy na dworzec autobusowy. I wtedy się zaczęło. Lunelo jak z cebry i w ciągu 10 minut ulicami zaczęło płynąć rzeki deszczówki, a w zagłębieniach tworzyć jeziora. Zaraz, zaraz... Tak szybko? Jak to? Myślimy, myślimy i wymyślamy: tu nie ma studzienek! Nie przypominamy sobie w każdym razie żebyśmy je widzieli. To by wyjaśniało ten nadmiar wody na ulicach. Na dworcu autobusowym przychodzi nam już brodzić po kostki w brudnawej wodzie. Super. Na szczęście autobus znajduje się bardzo szybko, teraz wystarczy tylko się trochę podsuszyć zanim zbierze się tradycyjny nadkomplet pasażerów. Z miasta wyjeżdżamy już w pięknych promieniach słońca.

Panajachel, tutejsze Mikolajki witają nas również deszczem. Metoda 'na goodbye' zbijamy cenę noclegu proponowaną przez naganiaczy do satysfakcjonujących nas ok. 10\$ za dwojkę z łazienką (obecnie jest po sezonie, więc to im zależy bardziej). Warunki OK, nawet mamy duże okno. Zostawiamy bagaże i ruszamy na polowanie na coś do zjedzenia. Jemy w restauracji (Darek plato tipico - stek plus ryż plus ciapa z fasoli plus surowka plus guacamole plus tortilla, ja tilapia w czosnku), kończymy Cuba Libre (happy hour - 2 w cenie 1 - trwa tu cały dzień... ciekawe...:)). Menu po angielsku, ketchup na stole - Yangshuo w wersji gwatemalskiej.

Nowy dzień zaczynamy w bardzo zachwalanej przez nasz przewodnik piekarni. Jemy pyszny, mokry, ciężki chlebek bananowy i znakomite cynamonowe roladki. Drogo (jak na tutejsze warunki - płacimy tyle, ile byśmy zapłacili za podstawowe śniadanie w restauracji), ale warto. Dzisiaj dzień leniucha - snujemy się po mieście, oglądamy pamiątki, a kiedy po południu zaczyna padać - zaszywamy się w kafejce internetowej. Wieczorna Msza zaczyna się z tradycyjnym, 15-minutowym poslizgiem, ale tym razem jest młodzieżowa. Grają na gitarach, śpiewają. Ale, co nas bardzo dziwi, mając cały czas w głowie obraz energetycznych latynosów, bardzo to wszystko jest spokojne i niesmiałe. Żadnych taniec ani nawet przytupów. Można nawet powiedzieć, że smutno. Znowu bardzo miłe i wręcz wylewne przekazywanie sobie znaku pokoju. Na koniec przywitaliśmy oklaskami nowego parafianina, który kilka dni wcześniej się urodził. Ksiądz wziął go na ręce i wszyscy razem odmówili modlitwę. Sympatycznie.

W poniedziałek wczesna pobudka. O 8 zaczyna się wycieczka łódką wokół jeziora z odwiedzeniem trzech miejscowości. Niezliczona ilość agencji i agencjek turystycznych sprzedaje ją za 10\$. Niby nie dużo, ale na pewno da się taniej. Chcemy zapłacić na łódce, bez pośredników. Docieramy na wybrzeże i słyszymy nawoływania na 'lago tour'. Łapie nas sprzedawca biletów, chce od nas równowartość 7 dolarów. Super. W sumie 6 do przodu. Ostatecznie na wycieczkę odpływa jedna jedyna łódka zebrawszy od turystów różnokolorowe bileciki zakupione u przeroznych pośredników. Wiwat spryt i umiejętność czytania przewodnika :)

Cała wycieczka trwa 7 godzin, odwiedza się miasteczka: San Pedro La Laguna z ciekawymi ewangelickimi kościołkami i wieloma szkołami języka hiszpańskiego, Santiago Atitlan z kretymi uliczkami wypełnionymi kolorowymi straganami z pamiątkami i San Antonio - spokojne miasteczko bez turystów, bez straganów. Podobało nam się.

A po południu tradycyjnie zaczęło padać...